

# Tacy źli, że trzeba było za



Monika Krawczyk, Peter Thoma i Ricki. Drugi syn, Mikael, nadal jest w domu dziecka

Monika wyjechała do Niemiec z nadziejami na lepsze życie. Mikela. Tylko że walka rodzica z Jugendamtem, urzędem ds.

**T**en rano nie różnił się od innych. Tak właśnie pomyślała Monika K. zaraz po przebudzeniu: nic nadzwyczajnego się nie zapowiada. Późniejsze wydarzenia owego listopadowego dnia bardzo ją zaskoczyły. Ktoś musiał zrobić doniesienie na Monikę K., bo mimo że w niczym nie zawiniła, dziecko zostało jej zabrane. Przypadek Józefa K. z „Procesu” Kafki...

## Jakim prawem!

Monika Krawczyk biegnie po schodach przeskakując po dwa stopnie, gubiąc kaptcie. To musi być pomyłka, to się nie dzieje naprawdę. Jak w jakimś absurdalnym śnie.

– Dokąd go zabieracie? Dlaczego? Oddajcie mi moje dziecko – płacze, błaga, krzyczy. Nic nie pomaga. Chwilę wcześniej wróciła ze spaceru i z zakupów. Mikael leżał na kocyku, machał rączkami i wesoło gaworzył. Pełno zabawek, pełno radości. Uśmiechał się, bo Pit grał na gitarze. Bardzo to lubił, muzyka go uspokajała już w brzuchu mamy.

– Jeśli tylko Pit przestawał grać, mały bombardował mój brzuch – mówi Monika K.

O godz. 11.15 usłyszała dzwonek od drzwi. Na progu stało czterech policjantów i dwóch pracowników Jugendamtu – niemieckiego urzędu ds. nieletnich.

– Ma pani dziecko? To proszę je ubrać. Zabieramy chłopca.

– Jak to zabieramy? Dokąd? Jakim prawem?

Nieznamomi nie odpowiadali na pytania. Nie było dyskusji, tłumaczeń. O przyczynach najścia dowiedziała się później.

## Nadzieje na lepsze życie

Monika Krawczyk przyjechała do Niemiec trzy lata temu, uciekała od męża. W Krakowie zostawiła czworo dzieci, cały czas próbuje je do siebie sprowadzić.

Jakoś tak zawsze miała w życiu pod górkę, wychowała się w domu dziecka. Później ten mąż, z którym się nie układało. Kłótnie, awantury, strach. Bieda. Kompletny brak perspektyw.

Na początku, w nowym kraju nie miała nic: pracy, ubezpieczenia, potrzebnych dokumentów. Zaczynała życie od nowa. Dostawała pieniądze z opieki społecznej. Na chwilę zaczęła się w knajpie. Poznała Pita i zamieszkała razem. W 2011 r. urodził się Mikael. Pit powiedział: nie będziesz pracować, sam utrzymam rodzinę.

– Gdy przyjechałam do Niemiec, to mi się wydawało, że Pana Boga za nogi chwyciłam – opowiada Monika. – Jechałam z nadziejami na lepsze życie. To prawda, że mieliśmy przez pewien czas problemy finansowe. Pit zbierał butelki, grał na gitarze. Ale wyszliśmy z kryzysu.

## Porwij swoje dziecko...

Mały Mikael trafił do Haimu – niemieckiego domu dziecka. Później do rodziny zastępczej. I znów do domu dziecka. W internecie ci, którzy sami przeszli gehennę, radzą zdesperowanym rodzicom: nie możesz

## Kocham Mikela, nie mu nie brakowało. Teraz tuła się po domach dziecka

zgodnie z prawem odzyskać własnego dziecka? Porwij je! Monika i Pit tak zrobili. Mikael był wtedy w rodzinie zastępczej. Wzięli go na spacer i nie wrócili. Przez krótką chwilę znów byli razem. Tamci zgłosili, że nie oddali dziecka.

Z Hamburga przeprowadzili się do Monachium. Peter znalazł pracę. Dostali od miasta mieszkanko, ładne, czyste, umebło-

wane. W listopadzie 2011 r. zapadł wyrok w sądzie rodzinnym, że jeśli tylko ich sytuacja życiowa się poprawi, Mikael ma wrócić do domu. Jugendamt z Hamburga sprawdził – wszystko jest w porządku, może wracać. Teraz liczy się głos Monachium. Ale Monachium zwleka.

– Z tych nerwów, ze stresu, Rikiego urodziłam dwa miesiące przed terminem – mówi Monika. – Jedno dziecko możemy wychowywać, a dla drugiego jesteśmy złymi rodzicami?

## U obcych mu lepiej?

Monika ma w domu wielkie akwarium. Pokładali się z Pittem ze śmiechu, jak Mikael po swoim, dziecinnemu, zaczął do tych rybek gadać. Gdy siedział w chodniku, dawali mu paleczki i garnki, a on z tymi paleczkami cuda wyprawiał! Taki był muzykalny. Monika uśmiecha się na wspomnienie tego, ale zaraz poważnieje.

– Kocham mojego synka, niczego mu nie brakowało – zapewnia. – I co, teraz u obcych ludzi, w domu dziecka jest mu lepiej? Taki jest mój, wszystko rozumie, jak mu pokazuję w książeczce zwierzątka, każde potrafi nazwać. Dorasta, a mnie przy nim nie ma. Mogę go odwiedzać dwa razy w tygodniu. Za każdym razem, kiedy go zostawiam, tak strasznie płaczę – opowiada i głos się jej łamie.

– Wstyd mi źle mówić o rodakach, ale to są hitlerowskie metody – twierdzi Peter Thoma. – Terror na psychice. Jak tylko wydestanę synka, rzucam im obywatelstwo w twarz i wyjeżdżam. To nie jest mój kraj. My już nie mamy życia. Tylko Jugendamt, sąd, dom dziecka. W nocy nie śpię, siedzę na internecie, szukam sposobów, żeby odzyskać synka. Złożyłam petycję do Parlamentu Europejskiego.

Monika: Dziećmi z patologicznych rodzin wcale się nie interesuję. Tylko tymi ładnymi, zadbanymi, z blond włoskami, niebieskimi oczkami. Raz dwa i oddają je do adopcji. Dla tych ludzi nie liczy się więź rodzinna i miłość. Oni nie mają uczuć.

## Hongkong dusi się w złotym, chińskim kagańcu

**H**ongkong obchodzi właśnie 15. rocznicę powrotu do macierzy. Nie jest to jednak radosne święto. 1 lipca, dokładnie w rocznicę przejęcia Hongkongu przez Chin, na ulice byłej brytyjskiej kolonii wyszły tysiące mieszkańców rozgniewanych i rozczarowanych chińskimi rządami.

Wszyscy w Hongkongu obawiali się tej chwili, kiedy do miasta-państwa z betonu, niesamowitego zakątka na kuli ziemskiej, gdzie przypadało wtedy

i pewnie teraz też najwięcej rolls-royce'ów na tysiąc mieszkańców, miały wjechać ciężarówki z chińskimi żołnierzami.

Hongkong tamtej nocy piętnaście lat temu wracał do Chin. Tylko nieliczna garstka wiwatowała, kiedy w środku nocy przetaczali się ulicami pojazdy z chińskimi żołnierzami.

Wielu otwarcie wtedy mówiło, że zostali zdradzeni. Każdy zdawał sobie sprawę, że to już koniec, że komuna niebawem przykręci kurek z wolności i demokracją.

Bano się także tego, że Hongkong, gospodarcza i finansowa perła tej części świata, za chwilę znajdzie się w ramach planowanej gospodarki, bo taka wtedy dominowała w komunistycznych Chinach. A to by oznaczało gospodarczy upadek Hongkongu.

Te obawy na szczęście nie spełniły się. Hongkong uważany był przez Pekin za złotą kure, a takiej się przecież nie dorzyna. Co więcej, potraktowano enklawę jako swoisty ośrodek do świadczenia dla specjalnych

stref ekonomicznych, które jak grzyby po deszczu powstawały w Chinach, by krok po kroku rozwijać gospodarkę rynkową i testować, czy nie zaszkodzi to komunistom.

Ale komunistyczny władcy nie zapomnieli o tym, że z demokracją Hongkong przesadza, że ma jej za dużo...

Niechęć wobec chińskich władz jeszcze nigdy nie była w Hongkongu tak wyraźna jak teraz. Gniew demonstrantów skierowany jest przeciwko partii komunistycznej – autokracji,

której symbol, przewodniczący Hu Jintao, złożył w miniony weekend swoją ostatnią prezydencką wizytę w regionie.

A w niedzielę demonstranci protestowali przeciwko coraz większej przepaści dzielącej bogatych i biednych, gigantycznemu wzrostowi kosztów życia i ograniczeniu praw demokratycznych. – Wszystko co ze sprowadza się do ingerencji Pekinu – twierdzi z przekonaniem Sherman Lau, inżynier. – Na pierwszy rzut oka Hongkong wydaje się kwitnąć, ale tak na-

prawdę życie jest coraz trudniejsze. Nie ma wolności słowa, łamie się obietnice, dziennikarstwo nie pozwala się nawet zadawać pytań.

Mimo prób odizolowania prezydenta Hu od hongkońskich krytyków, samotnemu aktywistce udało się przerwać jego wystąpienie z okazji zaprzysiężenia szefa administracji regionu. Zdążył wezwać do „zerwania z systemem jednopartyjnym” zanim wyprowadzono go z tłumu 2300 gości, którzy jego krytykę przyjęli z aplauzem. *Leo Lewis*

# brać im dziecko?

Teraz wcale nie ma życia, podporządkowała je walce o odzyskanie synka nieletnich, to jak starcie Dawida z Goliatem – pisze **Katarzyna Janiszewska**

## Nieżyły biznes?

Jeśli wpisać w internetową wyszukiwarkę hasło Jugendamt, wyskakują strony stowarzyszeń walczących z dyskryminacją. Takich historii jak Moniki jest mnóstwo – rodziców, którzy nie mogą zrozumieć co się stało, że nagle stracili dziecko.

Marcin Gall, z zawodu technik handlowiec, swoją sprawę wygrał. Jugendamt chciał odebrać mu dzieci, bo na stronie internetowej umieścił ich wspólną fotkę. A to – twierdzą – naraża dzieci na atak pedofilów. Sąd stanął po jego stronie. Gall założył Międzynarodowe Stowarzyszenie Przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech i pomaga innym.

– Niemcy mają rozbudowany system socjalno-opiekunicy, wiele osób zarabia na tym: sędziowie, adwokaci, pedagodzy, psycholodzy. Na utrzymanie jednego dziecka państwo płaci 3-4 tys. euro miesięcznie. W ich interesie jest, by sprawy ciągnęły się latami. Zabierają dzieci pod byle pretekstem. Wykorzystują bunt nastolatków. Albo konflikt między rodzicami – mediator wcale nie dąży do zgody, przeciwnie, podsycia napięcie.

## Nowa, niemiecka rodzina

Do polskiego sądu w Bytomiu Jugendamt z Hanoweru złożył wniosek. Chce odebrać polskie dzieci polskim rodzicom. Mają już dla nich nową, niemiecką rodzinę zastępczą. W środę odbyła się pierwsza rozprawa.

Aby tak. Rodzina G. wyjechała z Polski w 2007 r., by poprawić byt sobie i synom. Gdy pojawił się Jugendamt, nawet nie wzięli adwokata, tak kuriozalna wydała im się cała sprawa. Chłopcy trafili do domu dziecka. Nie czekali więc dłużej na rozwój wypadków. Podczas jednego ze spotkań zabrali swoje dzieci i wrócili do Polski.

– Jugendamty istniały już za czasów Hitlera – mówi Wojciech Pomorski, prezes Polskiego Stowarzyszenia Rodzice Przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech... – Podczas II wojny z Polski zostało wywiezio-

nych i zgermanizowanych 200 tys. dzieci. Teraz, co roku te urzędy odbierają 25 tys. dzieci. Przyrost naturalny w Niemczech maleje, osiedla się coraz więcej emigrantów, więc potrzebują zdrowych, białych dzieci.

Pomorski, z wykształcenia germanista, pedagog, wyjechał z kraju, gdy miał 19 lat. W Niemczech założył rodzinę. Ale małżeństwo nie układało się, rozstali się z żoną. Pewnego dnia wyszedł z domu, a gdy wrócił, córka już nie było. Zobaczył je pierwszy raz po czterech latach, później po roku i po dwóch latach – w sumie 15 godzin. Jugendamt zabronił mu kontaktować się z dziećmi w języku polskim. Sprawa stała się głośna.

– Nie mogłem się na to zgodzić, bo mam swój honor – mówi. – Gdyby taka sytuacja spotkała Niemca w Polsce, premier przeproszałby na kolanach, z kwiatami, w towarzystwie kamer. Gdy rządził PiS, Polacy mogli liczyć na pomoc. Teraz niewygodne sprawy zamykają się pod dywan, aby nie narazić się kanclerz Merkel – mówi.

## Przymusowa integracja

Rodzice walczą latami, walce o odzyskanie dziecka podporządkowują całe życie. Gdy walka nie przynosi skutku, tracą nadzieję. Z tego smutku, rezygnacji, cały organizm się psuje.

– Psują się zęby, siwieją włosy, pojawiają się problemy z jedzeniem – twierdzi Mikołaj Kraszewski, lekarz radiolog, który po wieloletniej walce jest na rencie chorobowej. Jemu też Jugendamt zabronił rozmawiać z synem po polsku. Chłopiec został z matką, dziś – już dorosły – nie chce słyszeć o swoich polskich korzeniach.

– Kiedy Niemcy byli podzielone na wschodnie i zachodnie, kultury innych narodów mogły się rozwijać – ocenia. – Po zjednoczeniu idea multikulturowości została zarzucona. Obcokrajowców zmusza się, by się naturalizowali. Można to nazywać różnie: przymusową integracją, albo wynarodowieniem. Taka jest niemiecka tradycja, to

w nich siedzi i co jakiś czas wychodzi.

## To się nie kojarzy

Do Komisji Petycji Parlamentu Europejskiego pod przewodnictwem Marcina Libickiego wpłynęło kilkadziesiąt skarg o osób, które żyły w Niemczech w mieszanym związku.

– Władze niemieckie otwarcie przyznawały, że w sytuacji rozpadu małżeństwa sądy orzekają na korzyść niemieckiego rodzica – opowiada Libicki. – To przecież prawda, ale też zdrowemu rozsądkowi. Bo dziecko jest przyznawane nie

## Zamiast odbierać dziecko, lepiej pomóc rodzinie rozwiązać problem

temu rodzicowi, który lepiej się nim zaopiekuje, ale temu, który wychowa w tradycji i kulturze niemieckiej. Rozpatrywaliśmy sprawy, które dotyczyły dyskryminacji na tle narodowościowym. Ale przy okazji powychodziło mnóstwo innych niepokojących rzeczy. Bywały przypadki, że o 6 rano policja wpadała do mieszkanka z psami, szukając dziecka, którego rodzic nie chciał wydać drugiemu rodzicowi. To się nie kojarzy...

Komisja stwierdziła, że może dochodzić do nadużyć, że strony Jugendamtów i że naruszane są zasady traktatowe.

## Wyjątek: sprawy rodzinne

Kolejny dokument został przygotowany przez niemiecką Ligę Praw Dzieci. Autorzy mieli wiele zastrzeżeń co do przeszkolenia osób zatrudnionych w Jugendamtach. Jak również do tego, że sądy całkowicie polegają na ich opinii. Zdanie pracownika zastępuje w praktyce wyrok. Kolejny

problem, na jaki zwrócono uwagę, to przewlekłość sądowych postępowań.

Jedną z rekomendacji, jaką w 2009 roku wydała Rada Praw Człowieka, była taka, aby Niemcy wprowadziły nadzór nad Jugendamtami.

– Już sam fakt, że rada wydała sugestie, że coś jest nie tak, ma ogromne znaczenie – uważa Adam Bodnar z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. – Niemcy są uznawane za państwo, w którym system prawny i sądowy działa bez zarzutu. Wyjątkiem są jednak sprawy rodzinne.

## Potrzebna dobra wola

Rząd Niemiec przyjął rekomendację. Tyle że w praktyce niewiele się od tamtej chwili zmieniło. Jugendamty nadal mają nieograniczone możliwości działania. Walka rodzica z urzędem przypomina starcie Dawida z Goliatem. Łatwo zabierają dzieci, wystarczy telefon od „życzliwego” sąsiada. A jak dziecko trafi do nich, trudno je odzyskać.

– Nie ma nad nimi prawnej kontroli – uważa Stefan Ham-bura, mieszkający w Niemczech adwokat polskiego pochodzenia. – Tworzy się wirtualna rzeczywistość: ekspertyzy biegłych, opinie psychologów. W części bierze się to stąd, że Jugendamty działają asekuracyjnie. Gdyby dziecku rzeczywiście coś zagrażało, chcą uniknąć zarzutów, że nic nie zrobili. Ale to nie jest sposób rozwiązywania problemu. Miejsce dziecka jest w rodzinie. Jeśli ma ona problem, to trzeba jej pomóc. Spokojnie przyjrzeć się sytuacji, a nie od razu zabierać dziecko. Wiele rzeczy można by poprawić. Potrzebna jest tylko dobra wola polityczna. Ale tej nie ma.

\*\*\*

Czwartek, godz. 11. Telefon do redakcji. – Wczoraj porwali mojej siostrze dziecko! Zabrali Jessikę z przedszkola, zadzwonił z Jugendamtu w Lisbaden, powiedzieli – proszę jej nie odbierać. Nic więcej. Jestem z Krakowa. Nazywam się Janusz Pawlik. Proszę, pomóżcie!

## Okiem Jerzego Stuhra Kartka z Włoch

*Spotykamy się na „następnym etapie”: wrócił Pan z Rzymu, zdjęcia do filmu zrealizowane, ale jak Włosi? Mówił Pan, że „cisi” i „szarzy”, a przecież był Pan tam w czasie ich sukcesów na EURO. Czy zmienił się ich nastrój?*



FOT. ANDRZEJ BAWAŁ

Oczywiście, trochę się zmienił. W tych dniach byli radośni.

Mają zwyczaj, jaki zaczyna się i u nas, że oglądają mecze w pubach i klubach, więc cieszą się wspólnie. Owe „strefy kibica” są u nich w każdej restauracji i w każdym klubie. Też tam chodziłem, ale musiałem wyjechać w dzień, gdy grali finał.

Dwa dni wcześniej znajomy szef pubu mówił do mnie: Maestro, proszę nie zapomnieć i przysięść na finał, bo pan przynosi szczęście. Nie powiedziałem mu, że wyjeżdżam, więc się czuję, jakbym „zawinił”...

Alle Włochom należało się trochę radości, bo ciężko są teraz doświadczeni. Trzęsienia ziemi, które były nie tak dawno we Włoszech, obok ewidentnej sytuacji katastrofy spowodowały wśród Włochów poczucie jeszcze innej klęski: kulturowej. Bo gdy było niebezpieczeństwo kolejnych wstrząsów, to okazało się, że zmniejszało to niebezpieczeństwo można w ten sposób, że „profilaktycznie” wyburza się te budynki, które byłyby narażone.

I tak ofiarą przemysłowości i przewidywaniami państwa najczęściej stawały się kościoły. Widziałem, jak wysadzony został w powietrze wielki szesnastowieczny kościół, aby nie zagrażał mieszkalnym domom, które są obok. Jakże to wyglądało! Widziałem proboszcza, który przy wysadzaniu jego kościoła płakał najprawdziwymi łzami. A potem budują namioty.

W namiotach są msze, w namiotach mieszkają ludzie, w namiotach były też strefy kibica. Całe „nowe życie”.

Wszyscy mają w pamięci te trzęsienia ziemi, które były trzy lata temu w środkowych Włoszech. Więc jakże mogą nie mieć minorowego nastroju?

Po tamtych trzęsieniach ziemi obiecano im szybką pomoc, ale takie przekręty Berlusconi porobił, że ludność przez rok, dwa mieszkala w namiotach. Berlusconi oszukiwał ludzi, a teraz ci spod Modeny, też mają słabą nadzieję, i sądzą, że zostaną oszukani, chociaż już nie ma

Berlusconiego, ale jest za to rozległy i widoczny kryzys.

Dlatego nastroje są kiepskie. Na szczęście turyści, zwłaszcza niemieccy, w ogóle się tym nie przejmują i w ogromnej ilości obsiadają plaże we wszystkich rejonach Włoch. Przyjmają trochę euro zostawiają. Jednak, w związku z trzęsieniami jest klęska.

Tam są tak cudne miejscowości, tak bardzo bogaty region. Bolonia, Modena, Parma i Regio Emilia mają bogate rolnictwo, nie tylko ser parmeński i szynkę parmeńską. Dzięki temu dadzą radę, ale gdybyśmy widzieli z bliska te różne zadbane maleńkie miejscowości, które są wyburzane jedna po drugiej, to serce się kraje!

Są takie strefy zamknięte, nie można w nie wchodzić, wygląda to tak przykro, że trudno sobie nawet wyobrazić, co to dopiero na to patrzeć. Nie ma wesołego nastroju. Ale wczoraj gazety podały, że 65 proc. Włochów i tak myśli pozytywnie i uważa, że za parę tygodni czy miesięcy, na pewno będzie lepiej.

Rozglądałem się kolejny raz po tym moim ulubionym regionie świata. Był akurat czas matry. Patrzyłem, jakie były tematy z dziedziny humanistyki w liceum klasycznym. Był temat „Aristoteles”. I to nie „Poetyka”, czy „Etyka”, jak byśmy to ewentualnie zobaczyli u nas. Pomyślałem, jak ta młodzież inaczej jest chowana. Inne rzeczy czytają, niż my czytaliśmy w klasach klasycznych. I choć młodzież narzekała, uważała, że „połamała” sobie zęby na tym, to jednak wiedzieli o co chodzi.

Kiedy rozmawiam we Włoszech z wykształconymi ludźmi, to np. znajomość filozofii jest tam dużo wyższa niż u nas. Powiesz np. „Spinoza” – i wiedzą o co chodzi! Ale, oczywiście, to tylko pewne kręgi.

Bo tak w ogóle, to „urawniłowka” jest straszliwa! Nic nie wiedzą! Pod tym względem nie różnią się Włosi od innych krajów zachodnich, więc nie powinniśmy w tych dziedzinach wpadać w jakieś kompleksy! *Notowała: Maria Malatyńska*

## Dinozaury przemieły z wiatrami

Dinozaury mogły być częściowo odpowiedzialne za ocieplenie klimatu w czasach gdy żyły – twierdzą naukowcy. Dieta tych gadów sprawiała, że produkowały ogromne ilości metanu, gazu, który znacząco wpływa na ocieplenie klimatu.

Głównymi winowajcami ówczesnych zmian klimatycznych były sauropody, które przez 150 mln lat nieustraszenie pożerały paprocie, po czym bekały i pierdziały, wydając metan.

Profesor Graeme Ruxton z Uniwersytetu St. Andrews przelecił, że dinozaury mogły produkować ponad 520 mln ton metanu rocznie. Zdaniem naukowców to wystarczyło, by szybko spowodować wzrost temperatur na Ziemi.

Przykładowo, 90-tonowy argentynozaur, który osiągał wysokość 42 metrów, potrzebował pół tony jedzenia dziennie. Gdy ta potężna masa karmy trafiała do jego jelit, miała produkować dziennie tysiące litrów metanu. Dzisiaj

szkrowa produkuje ok. 200 litrów metanu.

Metan jest gazem ponad 20 razy bardziej wpływającym na ocieplenie klimatu niż dwutlenek węgla. Dziś najwięcej metanu produkują zwierzęta. Rocznie wydychają do atmosfery około 100 mln ton gazu. To około jednej piątej ilości metanu, jaką produkowały dinozaury.

Profesor Ruxton stworzył matematyczny model, który miał sprawdzić, jaką ilość metanu zwierzęta mogły wy-

tworzyć w okresie mezozoiku – od 250 mln do 65 mln lat temu. Wyniki okazały się porażające. – Nasze kalkulacje sugerują, że te dinozaury mogły wyprodukować więcej metanu niż wszystkie współczesne źródła tego gazu – naturalne i ludzkie razem wzięte!

Mamy nowe pytania o los dinozaurów. Czy to uderzenie asteroidy przed 65 mln lat spowodowało wyginiecie, czy może gady same zgotowały sobie zagładę?

Jonathan Leake